

Irena Leszczyńska ps. Kubuś Zgrupowanie Żaglowiec

*Wspomnienia na podstawie rozmowy z Magdaleną Miązek z dnia 22 marca 2005
zamieszczonej w stronie Muzeum Powstania Warszawskiego*



Od 1943 roku byłam żołnierzem Warszawskiego Okręgu AK II. Obwodu Żoliborz, dowodzonego przez pułkownika Mieczysława Niedzielskiego pseudonim „Sadownik”. Przechodziłam wówczas szkolenie w kierunku służby łączności, nadzorowane przez porucznika Józefa Krzeskiego pseudonim „Słuchawka”. Tuż przed Powstaniem Obwód Żoliborz i jego rejony otrzymały nowe kryptonimy, zaczynające się na literę „Ż”. Pułkownik Niedzielski otrzymał pseudonim „Żywiciel”, a podległe mu zgrupowania bojowe i ich dowódcy: „Żaglowiec”, „Żmija”, „Żubr”, „Żyrafa”, „Żniwiarz”. W momencie koncentracji zostałam przydzielona do Zgrupowania „Żaglowiec”, plutonu łączności numer 201, który podlegał porucznikowi Eugeniuszowi Piotrowskiemu pseudonim „Gama”. Stopnia wojskowego nie miałam.

Pełniłam tam służbę łączniczki-telefonistki, do czego byłam wcześniej przygotowana na szkoleniach organizowanych w ramach Wojskowej Służby Kobiet AK, której podporządkowana została podziemna żeńska organizacja Związku Harcerstwa Polskiego, celem przeszkolenia harcerek do prac specjalistycznych na potrzeby wojska. Należałam do żoliborskiej 4. Żeńskiej Drużyny Harcerskiej „Knieje” pod komenda harcmistrza Niny Rostańskiej. Wszystkie dziewczęta tej drużyny przechodziły szkolenie łącznościowe.

Pochodzę z rodziny wojskowej. Ojciec, Aleksander Niżyński przed wojną był oficerem zawodowym Wojska Polskiego. Służbowe zależności ojca były powodem kilkakrotnej zmiany miejsca zamieszkania naszej rodziny. Od 1938 roku mieszkaliśmy w Warszawie. Tam chodziłam jeszcze do szkoły. Wcześniej mieszkaliśmy trzy lata w Stanisławowie, siedem lat w Lublinie i dwa lata w Równym Wołyńskim, gdzie się urodziłam. Mama zajmowała się domem rodzinnym. Mając starszą o dwa lata siostrę Kazimierą szłam w okresie młodości utorowaną przez nią drogą.

Mieszkając w Stanisławowie (Kresy Wschodnie), jako uczennica Szkoły Powszechnej imienia Emilii Plater, wstąpiłam w 1935 roku do gromady zuchowej przy drużynie harcerskiej imienia Marii Curie-Skłodowskiej. Po zdobyciu trzech gwiazdek zuchowych i ukończeniu jedenastego roku życia, stałam się pełnoprawną harcerką. Ten początkowy okres mojego „uspołecznienia” był dla mnie ważny, bo stał się fundamentem do budowania przyszłych wartości.

Pochodząc z rodziny wojskowej od dziecka wychowywana byłam w atmosferze uczuć patriotycznych. Ojciec już w osiemnastym roku życia wstąpił ochotniczo do wojskowych oddziałów obrony Lwowa, po czym w szeregach 3. Dywizji Piechoty Legionów przeżył całą kampanię frontową w Małopolsce Wschodniej. Mamie mojej Helenie z Iwanowskich, zamieszkałej w Kijowie, udało się dopiero w 1920 roku dołączyć do oddziału wojska polskiego, podczas jego pobytu w tym mieście, i w jego szeregach przyjechać do wolnego już kraju. Była też oficerem. Oboje rodzice należeli do pokolenia, które doceniało niepodległość ojczyzny i rozumiało potrzebę wychowywania dzieci w duchu patriotyzmu. Doceniali też rolę harcerstwa, jako czynnika wspierającego wychowywanie w kierunku rozumienia potrzeby służby ojczyźnie i społeczeństwu, więc chętnie wspomagali nas na drodze naszego

harcerzowania. Ta harcerska droga wprowadziła nas w działalność konspiracyjną i udział w Powstaniu.

W ostatnich dniach sierpnia 1939 roku wróciliśmy z siostrą z wakacji. 30 sierpnia ogłoszona została powszechna mobilizacja, a nazajutrz radio informowało o niemieckiej agresji na Polskę. Był to wielki wstrząs dla wszystkich. Na początku września ojciec, zgodnie z kartą mobilizacyjną, przebywał w sztabie Armii „Łódź”. Gdy wrócił do Warszawy 9 września, objął stanowisko Wojskowego Komisarza Żywnościowego przy Komisarzu Cywilnym Obrony Warszawy prezydencie Starzyńskim. Pełnił służbę w ratuszu i tylko kilka razy wpadł do domu. Po kapitulacji nie poszedł do niewoli i z polecenia prezydenta Starzyńskiego, po zmianie munduru na ubranie cywilne, organizował w nowych warunkach zewnętrznych Miejski Zakład Apropowizacyjny miasta stołecznego Warszawy. Powierzoną mu funkcję szefa zaopatrzenia ojciec pełnił przez cały czas okupacji. Równoległe, pod pseudonimem „Ekonom”, pełnił w konspiracji funkcję kwatermistrza Obszaru Warszawskiego Armii Krajowej. Brał udział w Powstaniu Warszawskim w Śródmieściu, po czym wraz ze Sztabem Obszaru poszedł do niewoli i przebywał w Oflagu II C w Woldenbergu (Dobiegniew) do stycznia 1945 roku.

Podczas oblężenia Warszawy przebywałam wraz z matką i siostrą w naszym domu na Żoliborzu, gdzie wraz z innymi mieszkańcami starałyśmy się przetrwać wspólnie tragedię oblężonego miasta, naloty, bombardowania, pożary. Miałam wówczas niepełne trzynaście lat. Na zawsze pozostał w mej pamięci ogrom zrzuconych bomb zapalających, głos płynący z radia nadający jakieś niezrozumiałe dla mnie tajemnicze meldunki oraz widok zrozpaczonych polskich żołnierzy na wieść o kapitulacji. Będąc w ewidencji rodzin wojskowych, w ramach akcji obrony ludności cywilnej przed działaniami bojowymi, doręczono nam polecenie ewakuacyjne, które moja mama zamierzała wypełnić. W tym dniu, gdy z podręcznym bagażem czyniłyśmy próby stawienia się na punkcie zbornym, poznałyśmy i odczułyśmy tragiczną rzeczywistość polskiego września 1939 roku w sytuacji gigantycznego chaosu organizacyjnego. Przerażający był niesamowity bałagan i tłok na drogach, szosach i dworcach kolejowych, tłumy wędrujących ludzi, całe kolumny uchodźców z tobołami, gromady żołnierzy z rozbitych oddziałów i naloty lotnicze na to wszystko.

W 1942 roku zostałam przyjęta do 4. Żeńskiej Drużyny Harcerskiej „Knieje”, działającej w konspiracji pod komendą drużyny Niny Rostańskiej. Drużyna zrzeszała w pięciu zastępach około trzydziestu dziewcząt powyżej szesnastego roku życia. Organizacja harcerska współpracowała wówczas z wydziałem Wojskowej Służby Kobiet AK, organizującym szkolenia dziewcząt do służby łączności lub sanitarnej w planowanym Powstaniu. Cała nasza drużyna, równoległe z pracą harcerską, ukierunkowaną na samokształcenie, zdobywanie stopni i sprawności, a także pomoc potrzebującym; dzieciom oraz osobom starszym i samotnym przechodziła szkolenie przygotowujące nas do wojskowej służby łączności jako telefonistki i łączniczki „chodzące”.

Szkolenia odbywały się w mieszkaniach prywatnych, czasem w terenie. Organizowano je w pięcio–sześć osobowych patrolach, ze starszą wiekiem i doświadczeniem patrolową z WSK na czele. Składy patroli pokrywały się ze składami zastępów harcerskich. Szkolenie obejmowało: znajomość aparatów telefonicznych i różnego typu łącznic, z umiejętnością ich obsługi, sygnalizację (odbiór i nadawanie znaków Morse’a), terenoznawstwo (szkice topograficzne i czytanie map) oraz przedmioty ogólnowojskowe, takie jak musztra i nauka o broni wraz z jej obsługą, co dla mnie było najtrudniejsze. .

Początek Powstania – przyszła odgórna decyzja, ustalająca godzinę „W”, jako moment rozpoczęcia walki, decyzja zapadła rano 1 sierpnia 1944 roku, chociaż pierwsza koncentracja oddziałów powstańczych została zarządzona i potem odwołana już kilka dni wcześniej. Dobrze pamiętam wielkie napięcie w przeżywaniu tamtych ostatnich dni lipca oraz nastroj podniecenia i niepokoju, panujący w jednostkach powstańczych, stacjonujących przez wiele godzin w miejscach wyczekiwania, czuwających w pogotowiu. Miejscem koncentracji plutonu łączności numer 201 było duże mieszkanie prywatne w bloku przy placu Inwalidów i tam, w dniu 1 sierpnia zgromadziła się ponad pięćdziesięcioosobowa grupa ludzi. Około godziny trzynastej otrzymałam od przełożonego plutonu, porucznika „Gamy” polecenie dostarczenia do dowództwa regionu – meldunku. Byłam wówczas bardzo dumna z możliwości przeniesienia pierwszego „prawdziwego” meldunku służbowego. Ruszyłam w drogę, ale po nagłym usłyszeniu w pobliżu odgłosów strzelaniny i wybuchów granatów, zmieniłam kierunek, aby okręzną drogą, przez tereny nad Wisłą, dotrzeć do celu i wykonać zadanie. Meldunek schowałam w zakończeniu krawata przy bluzce. Wtedy nie wiedziałam, że właśnie na Żoliborzu nastąpiło starcie jednego z oddziałów akowskich z przypadkowym patrolem niemieckim, co dało początek walce zbrojnej jeszcze przed godziną „W”, dezorientując wszystkich. Nad Wisłą dołączyłam do spotkanej grupy osób zdążającej w tym samym kierunku co ja: dwie kobiety oraz dwóch lub trzech mężczyzn. Nagle zaskoczył nas kilkusobowy patrol zdenerwowanych żołnierzy niemieckich i poczułam przerażający strach. Po próbie tłumaczenia, że tą drogą wracamy z pracy do domów, Niemcy zawrócili, popędzając szybko przed sobą kobiety. Po chwili, z tyłu za nami, padła salwa strzałów wskazująca na zastrzelenie mężczyzn.

Zostałyśmy doprowadzone do pobliskiej niemieckiej fabryki zbrojeniowej zwanej „Błaszanką” i umieszczone w służbowce przy wartowni. Fabryka ta zatrudniała również sporo polskich pracowników. Od razu wyczuwało się panującą tam atmosferę wyjątkowego napięcia. Korzystając z toalety, spotkałam pracującą w fabryce koleżankę szkolną, która pomogła mi włączyć się do grupy pracowników opuszczających zakład i wyjść na zewnątrz. Znajdowałam się na Marymoncie, było już ciemno i padał ulewny deszcz. Nie wiedziałam co się dzieje na Żoliborzu. Dotarłam do plebanii księdza Trószyńskiego, kapelana AK, przy ulicy Gdańskiej. Plebania była zawsze otwarta dla potrzebujących schronienia. Aktualnie też zastałam tam kilkanaście osób, jak się okazało niedobitków z pierwszego dnia walk żoliborskich. Od nich dowiedziałam się o stratach powstańczych podczas „południowego” starcia z wrogiem i o tragicznych skutkach ataków dokonanych na placówki niemieckie już po godzinie „W”. Dowiedziałam się też o wymarszu do Puszczy Kampinoskiej żoliborskich oddziałów powstańczych wraz z dowództwem. W takiej sytuacji mój niedoniesiony meldunek, z dopiero wtedy poznaną treścią: „Pluton łączności na miejscu w gotowości” – stracił swoją aktualność. Tam przesiedzieliśmy do rana, bo już na Marymoncie byli Niemcy. Rano 2 sierpnia... cisza, głucho, pusto. Dotarłam na podwórko, gdzie wiedziałam, że muszę ten meldunek złożyć. Okazało się, że tam nikogo w ogóle nie ma. Przemykając przez zupełnie puste i ciche podwórka bloków żoliborskich, dotarłam do domu.

Mieszkałam wówczas przy ulicy Krasińskiego 4, w domu, który wraz z sąsiednim o numerze 2 kończył zabudowę parzystej strony tej ulicy. Za tymi domami, aż do Wisły, był już teren nieuregulowany. Informacja ta jest potrzebna, bo uściśla relację z ostatnich godzin mojego udziału w Powstaniu. Piwnice wyżej wymienionych domów były schronieniem dla plutonu łączności w końcowej fazie Powstania, tam połączyłam się z rodziną i z nią wyszłam z Warszawy.

Żoliborz przez kilka dni był opustoszały. Niemcy, zdezorientowani sytuacją, wycofali wszystkie czołgi, samochody i jednostki uzbrojone do swoich umocnionych punktów na obrzeżach

dzielnicy. Straszły tylko sporadycznie przejeżdżające główną arterią Żoliborza – i to z niezwykłą szybkością – samochody, których równie wystraszone załogi posyłały „na oślep” serie karabinowe w boczne ulice.

Aby „coś zrobić” zgłosiłam się do znanego mi z konspiracyjnej przeszłości punktu kontaktowego i tam pomagałam przy powielaniu, na bardzo przestarzałym urządzeniu z wałkiem i farba drukarską, lokalnego „Biuletynu Informacyjnego”. 4 sierpnia nastąpił powrót oddziałów AK z Kampinosu u zajmowane przez poszczególne zgrupowania wyznaczonych linii obronnych. Po zabarykadowaniu arterii przelotowych, dla uniemożliwienia Niemcom przejazdów, zorganizowano budowę rowów dobiegowych dla komunikacji wewnątrz dzielnicy, jako zabezpieczenia przed ostrzałem. Żoliborz stał się odciętą od reszty dzielnic Warszawy jednostką obronną, z możliwością dojścia wyłącznie kanałami. Było to jakby samoistne miasteczko, z własną administracją i organizacją życia, zarówno od strony wojskowej jak i cywilnej. Wszyscy powstańcy zostali zaopatrzeni w biało-czerwone opaski z wydrukiem liter WP oraz orzełkiem i ewentualnie numerem oddziału. Przez dłuższy czas Żoliborz nie był tak mocno atakowany jak inne dzielnice, trwały tylko naloty lotnicze i ostrzeliwania artyleryjskie. Walk w centrum dzielnicy nie było, jedynie starcia z wrogiem na obrzeżach, związane z utrzymaniem placówek zabezpieczających.

Po trzech dniach jak nasze wojsko wróciło i zajmowało już pozycje to wróciłam do swojego oddziału. Znajdował się na ulicy Pogonowskiego. To był specjalny pluton łączności przy komendzie Zgrupowania „Żaglowiec”. Miejscem stacjonowania było kilka willi przy ulicy Pogonowskiego. W skład plutonu wchodziły męskie patrole telefoniczne i gońcy, saperzy i służba gospodarcza oraz sześć łączniczek-telefonistek. Naszym głównym zadaniem była obsługa centrali telefonicznej i przenoszenie meldunków do dowódców około dziesięciu placówek bojowych, rozmieszczonych w południowej części Żoliborza (wzdłuż linii kolejowej) i podległych kapitanowi „Żaglowcowi”. Ilość placówek bojowych ulegała zmianie, zależnie od stanu osobowego całego zgrupowania. Jako grupa łączniczek pełniłyśmy służbę zmianowo: dwie przy telefonach, dwie – roznoszenie meldunków, dwie – „odpoczynek”. Wykonywałyśmy też wiele prac gospodarczych i socjalnych, na przykład pomoc w kuchni, aprowizacji, przy odbiorze przydziałów żywnościowych, czy starania o miejsca do snu po służbie. Trzy z nas były harcerkami ze stażem, przeto charakteryzowała nas postawa samarytańska i służebna. Sprawy zaopatrzenia organizowała wojskowa służba kwatermistrzowska, już wcześniej gromadząc zapasy żywności w różnych zakonspirowanych magazynach na terenie dzielnicy, w oparciu i przy współpracy z legalnie istniejącymi organizacjami jak PCK czy RGO oraz szkołami i zakładami produkcyjnymi. Pomagałyśmy przy aprowizacji, była wspólna piekarnia, która wypiekała chleb, chodziło się po przydział kaszy, czy czegoś do ugotowania zupy, bo gotowaliśmy u siebie. Jeden z mężczyzn był kucharzem i codziennie któraś z nas pomagała jemu przy gotowaniu zupy. Przeważnie tylko zupa była.

Były przydziały żywniowe. Trudno mi sobie teraz uzmysłowić skąd... Wiem, że początkowo chodziło się po przydziały. Myśmy żyli z przydziałów. W przydziale podstawą była zawsze zupa, kasza, jakieś pływające jarzynki.

Myśmy były zajęte – albo był dyżur przy centrali, to się bez przerwy siedziało przy centralce, a w następnym dniu, czy w innych godzinach, biegałyśmy z meldunkami.

Nie byłyśmy uzbrojone. Szkolono nas, owszem. Nawet uczono nas strzelania. Ale ja za każdym razem odwracałam głowę i nie byłam w stanie. Natomiast najgorszym dniem dla mnie był ten ostatni, już w dniu kapitulacji, ponieważ chodziłam też z meldunkami i dano mi maleńką

„piątkę”, Walthera chyba... Ja ją miałam za pasem i szłam sztywno jak świeca. Bałam się tego panicznie. To był najgorszy i najtrudniejszy okres Powstania, gdy musiałam mieć broń przy sobie. Ale to było bardzo krótko. W ten ostatni dzień, też było dla mnie bardzo przykre, została zwołana konferencja, odprawa wszystkich dowódców i mój dowódca wziął sobie mnie jako łączniczkę, żebym wróciła potem z jakimś meldunkiem. Na tej odprawie dowiedzieliśmy się już o kapitulacji i ja musiałam ten meldunek przynieść do naszego plutonu. Jak to powiedziałam, to myślałam, że oni mnie zamordują, ci chłopcy, wszyscy. Naprawdę, to była straszna rozpacz i złość. Bardzo to przeżyłam... Bo ode mnie musieli się dowiedzieć, że cały wysiłek na marne...

Ze mną był też chłopak, łącznik dowódcy. Razem staliśmy pod drzwiami, gdzie się odbywała odprawa. On dostał prawie ataku hysterii, rozplakał się jak małe dziecko.

Praca łączniczek w terenie wymagała umiejętności szybkiego przemieszczania się przez różne podwórkowe zakamarki, przejścia i rowy łącznikowe, z równoczesnym skrywaniem się przed snajperami. Prace tę czynił niebezpieczną stale zagrażający ostrzał pociskami tak zwanej szafy lub krowy. Przez tory kolejowe, oddzielające Żoliborz od reszty miasta, Niemcy, okupujący Dworzec Gdański, cały czas przetaczali wagon pancerny z urządzeniem wysyłającym w obie strony serie pocisków. Grozę siał przenikliwy zgrzyt podobny do ryku, słyszany przed wybuchem pocisków.

My pełniłyśmy cały czas służbę łącznościową. My nie miałyśmy wolnego czasu. Konieczność dyspozycyjności w każdej chwili oraz osobista potrzeba użyteczności w plutonie powodowały całkowite poświęcenie czasu sprawom służbowym. Nie miałam możliwości korzystania z żadnych form życia kulturalnego, organizowanego sporadycznie w kilku miejscach większych skupisk powstańców i ludności cywilnej, a wiem, że były organizowane msze święte, koncerty fortepianowe i wieczory recytatorskie.

Niewiele wiedziałam co się dzieje wokół. Nawet nic nie wiedziałam, co się dzieje w Śródmieściu, w ogóle nie mieliśmy kontaktu. Nie miałam też wiadomości od przebywających tam osób najbliższych – ojca i „narzeczonego” – pierwszej, młodzieńczej i czystej miłości. Wtedy nie mówiło się: „mój chłopak”, tylko się mówiło: „mój narzeczony”. To była już znajomość czteroletnia, to już było coś...

Nazywał się Wojciech Czerny pseudonim „Zawisza” Miał wówczas dziewiętnaście lat i pełnił służbę w Batalionie „Kiliński” (1. kompania, II pluton). Imponował mi swoją pozytywną wyróżniającą się we wszystkich dziedzinach życia postawą. Obok pracy zarobkowej skończył na tajnych kompletach szkołę średnią, zdał maturę, a także zaliczył podziemną Szkołę Podchorążych, uzyskując stopień kaprała podchorążego. Ostatni raz widzieliśmy się w przeddzień wybuchu Powstania. Byliśmy przygotowani, że spotkamy się za kilka dni, wierząc w to, co nam mówiono. O śmierci narzeczonego dowiedziałam się po Powstaniu, w październiku 1944 roku, gdy po wyjściu z Warszawy z ludnością cywilną, przebywałam czasowo u rodziny w Żyrardowie. Tę okrutną wiadomość przywiozła koleżanka mojej siostry, uczestniczka działań powstańczych w śródmieściu. Przekazała też okoliczności tej tragedii, która nastąpiła 8 września w budynku numer 23 na Nowym Świecie, gdzie przebywało kilkunastu żołnierzy z Batalionu „Kiliński”, a wśród nich dwaj bracia Czerny – Wojciech i Andrzej. W czasie natarcia wroga budynek uległ zburzeniu i wypaleniu wewnątrz. Nie było wówczas możliwości ratunku, a wycofującym się w pośpiechu powstańcom udało się wyciągnąć tylko jedną ofiarę tego tragicznego wydarzenia – Zbigniewa Dębskiego, którego noga w sposób widoczny wystawała z gruzów. Był długo nieprzytomny po urazie głowy, ale przeżył i choć niewiele pamięta jest jedynym świadkiem tamtej tragedii. Rodzice zasypanych

wówczas żołnierzy, po powrocie do Warszawy, organizowali na własną rękę przekopywanie tamtego terenu, chcąc znaleźć choćby szczątki swoich synów. Wykopano jedynie kilka przedmiotów (zegarek, zapalniczkę) i drobne kawałeczki spalonych kości, które w małej skrzyneczce zostały złożone w symbolicznej zbiorowej mogile, usytuowanej na Wojskowych Powązkach w kwaterze Batalionu „Kiliński”. Przy kolejnym przekopywaniu gruzów w 1946 roku znaleziony został niepodważalny dowód śmierci mego Wojtka: resztki portfela z moim zdjęciem, medalikiem oraz napisanym do mnie listem, lekko nadpalonym, ale jeszcze czytelnym, bo pisany zwykłym ołówkiem. List ten przekazała mi matka Wojtka – Maria Czerna, traktująca mnie jako część jej syna, a wyrażała to tak pięknie w swoich listach do mnie, że czytając po tylu latach trudno ukryć wzruszenie. Wykopany z gruzów list Wojtka, przez wszystkie lata mego dalszego życia, był cenną i pieczołowicie przechowywaną pamiątką. W bieżącym roku, gdy kończę osiemdziesiąt trzy lata, podjęłam decyzję przekazania go do Muzeum Powstania Warszawskiego, wierząc, że jest to najlepsze miejsce, w którym ta moja osobista „świętość” może być uszanowana. (Protokół przekazania Nr P/6671/09 z 7 kwietnia 2009 roku, znak sprawy MPW-GI-4001-88/09/1294).

Ojciec mój Aleksander Niżyński – major dyplomowany Wojska Polskiego, urodzony w 1900 roku – od początku okupacji niemieckiej (w 1939 roku) zaangażowany był w tworzenie i późniejszą działalność organizacji konspiracyjnej SZP – ZWZ – AK, należąc do Okręgu Warszawskiego. W organizacji tej kierował służbą kwatermistrzowską pod pseudonimem „Ekonom”. Piastując równolegle w pracy cywilnej, przez lata okupacji, stanowisko szefa zaopatrzenia w Miejskim Zakładzie Apropowizacyjnym miasta stołecznego Warszawy – wykazywał się dużym zaangażowaniem w służbę społeczno-obywatelską, organizując szereg komitetów opiekuńczych i stołówek, współpracował z PCK i innymi organizacjami społecznymi, a także niósł pomoc materialną i zaopatrzenie w żywność licznym grupom zorganizowanych środowisk: zakładów naukowych, nauczycieli, artystów i innych obywateli Warszawy. W czasie Powstania ojciec był członkiem Sztabu Obszaru AK pod dowództwem generała brygady Albina Skroczyńskiego pseudonim „Łaszcz”, stacjonującego w Śródmieściu na ulicy Żłotej. Żadnego kontaktu wówczas z ojcem nie miałam.

Pełnienie służby w Zgrupowaniu „Żaglowiec” było w pewnym sensie zaszczytem. Kadre zgrupowania tworzyli oficerowie i podoficerowie wywodzący się ze sławnego, zasłużonego w obojach i mającego swój wkład w historię kraju 21. Pułku Piechoty „Dzieci Warszawy”, który przed 1939 rokiem stacjonował w warszawskiej Cytadeli. W plutonie łączności byliśmy w otoczeniu większości mężczyzn starszych od nas wiekiem i doświadczeniem, traktujących nas „po ojcowsku”, ale zawsze z szacunkiem dla naszego zaangażowania w służbę. Atmosfera była cudowna, bardzo przyjemna.

Jaki był stosunek ludności cywilnej do Powstańców? Po pierwszych dniach niepewności i obawy, gdy Żoliborz był jakby „bezpieczny”, ludność cywilna z ulgą przyjęła powrót wojska z Puszczy Kampinoskiej, bo to jakoś umocniło ich wiarę w pomyślny „obrót sprawy”. Wspierając podjęty czyn powstańczy, kto mógł włączał się w budowanie barykad, przejść i rowów łącznikowych. Nastąpiło szybkie przystosowanie się do nowych warunków życia i honorowanie zarządzeń władzy wojskowej. Początkowo realia bytowania na Żoliborzu były łatwiejsze niż w innych dzielnicach Warszawy, przeżywających koszmar zniszczeń i zagłady. Dzięki temu mogła rozwijać się skuteczna forma samorządu dzielnicy, zwłaszcza w blokowiskach. Organizujące się samorzutnie różne cywilne służby i komitety społeczne, ofiarnie stały na straży bezkonfliktowego współistnienia. Przebiegając często z meldunkami, z konieczności zachowania bezpieczeństwa, przez korytarze piwniczne różnych kamienic i bloków, miałam styczność z przebywającą tam ludnością cywilną i zawsze spotykałam się z życzliwością i przychylnością.

Ofiar było bardzo dużo. Przede wszystkim w pierwszym dniu Powstania, jeszcze przed wyjściem do lasu, do Kampinosu. Największe ofiary były u „Żaglowca”, który zdobywał Dworzec Gdański i jednostki wojskowe przy Cytadeli. Z bliskich żołnierzy plutonu łączności zginął w połowie sierpnia mój kolega ze szkolnej ławy Janusz Konarski pseudonim „Vis”, będący w składzie patrolu telefonicznego podczas starcia w obronie atakowanej naszej placówki w pobliżu linii kolejowej, przy wiadukcie.

Ranna była moja siostra. Ona była oddalona ode mnie o kilometr. Też była w służbie łączności. Gdy dowiedziałam się, że została ranna, to poprosiłam dowódcę mojego plutonu i jeszcze jednego [mężczyznę], wzięliśmy nosze z pobliskiego punktu sanitarnego, bo obok nas, też na Pogonowskiego był punkt sanitarny, i poszliśmy do miejsca gdzie siostra leżała ranna. Przynieśliśmy ją do nas na punkt sanitarny, żeby wiedziała, co się z nią dzieje. Ona przez kilka dni była na tym punkcie sanitarnym. Po likwidacji części Warszawy, gdy Niemcy zorganizowali atak na Żoliborz, wszystkie oddziały powstańcze kierowały się w stronę Wisły, bowiem myślno o przeprawie przez Wisłę. Wtedy, trzeba już było likwidować punkt sanitarny, więc przetransportowaliśmy siostrę do domu matki. To znaczy – ona musiała iść na własnych nogach... To było tragiczne przejście, bo trzeba było iść przez park, co chwila „coś” się gdzieś rozrywało, myśmy padali na ziemię a ona biedna nie mogła nic zrobić, ani skulić się, bo dostała z granatnika i była cała posiekana jak sito.

Punkt sanitarny mieścił się na parterze jednej willi na ulicy Pogonowskiego, gdzie w pomieszczeniach domowych zorganizowano placówkę „lekarsko-pielęgniarską”, przystosowaną do udzielania pierwszej pomocy rannym czy chorym powstańcom i osobom cywilnym. Dotyczyło to pomocy doraźnej. Placówka ta dysponowała niewielką ilością miejsc leżących (łóżka, materace lub nosze), dla rannych wymagających tylko krótkotrwałej opieki medycznej.

Ja miałam jeszcze jedną idiotyczną sprawę. Jak już mówiłam miałyśmy służebne nastawienie. Ponieważ już się robiło zimno, to zdecydowałam się pójść na Marymont, czyli dzielnicę zajęta przez Niemców, żeby przynieść buty mojemu szefowi. To był idiotyzm, po prostu idiotyzm! Ale takie pełne poświęcenia były właśnie wtedy harcerki. Poszłam. Mało tego... To może nieważne, ale to taka ciekawostka. Koło nas pętał się dwunastoletni chłopak, uroczy, przemiły, dowcipny, bardzo go lubiliśmy. On się zobowiązał i poszedł ze mną na Marymont. Po latach, po wielu, wielu latach, tu we Wrocławiu się dowiedziałam, że to był Jerzy Dobrowolski, znany aktor komediowy. Cudowny, uroczy... Wtedy był tym chłopaczkiem dwunastoletnim, łażącym po wszystkich oddziałach, wciskającym się gdzie mógł, żeby coś komuś pomóc. On towarzyszył mi w tej wyprawie po buty.

Dowództwo niemieckie kilkakrotnie proponowało kapitulację. W wyniku stanowczej odmowy, Niemcy rozpoczęli szturm generalny w celu likwidacji broniących się jeszcze dzielnic. Pod koniec września ruszyło silne natarcie atakujące Żoliborz równocześnie z trzech stron i to przy wykorzystaniu kolaboranckich oddziałów „ukraińskich” i „własowców”, znanych już z bestialstwa i zwyrodnienia. Obrona Żoliborza, w dużej części dzielnicy willowej nie była możliwa przeciw ciężkim, miażdżącym czołgom całej dywizji pancerniej, której oddziały dały się już poznać w pogromach innych dzielnic Warszawy. Bardzo wielu powstańców zginęło wówczas podczas brawurowych, zaciętych walk obronnych. Postępujące ostateczne natarcie niemieckie coraz bardziej zacieśniało obszar obronny. Oddziały powstańcze przesuwały się tak, aby utrzymać dostęp do Wisły, bowiem zaistniała nadzieja przeprawy przez rzekę na jej przeciwległy brzeg, obsadzony przez wojsko radzieckie. Otrzymana drogą radiową radziecka propozycja dotyczyła położenia nad Wisłą zastony dymnej i dokonania pod osłoną ich artylerii oraz na przystanych po nas pontonach - przeprawy. Silny wiatr okazał się przeszkodą.

30 września Komenda „Żaglowca” wraz z plutonem łączności zajęła pozycje w nieruchomości przy ulicy Krasińskiego 6 i zrzędzeniem losu znalazłam się w sąsiedztwie mego domu. Zaciekły atak Niemców trwał od rana. Około godziny osiemnastej ogień z ich strony uciął i zdziwienie wywołała zauważona biała płachta nad ich placówkami. Niestety wkrótce ujawniła się okrutna „prawda”, przyniesiona przez parlamentariuszy Dowódcy Powstania generała „Bora” - rozkaz dla pułkownika „Żywiciela” dotyczący podpisania kapitulacji. Bilans zmagających ostatnich dni był straszliwy. Ogromne straty w ludziach, mnóstwo rannych, którymi wypełnione zostały oba dzielnicowe szpitale i piwnice domów mieszkalnych. Ciężko ranny dowódca Żoliborza „Żywiciel” ulokowany został w piwnicy jednej z willi niedaleko Wisły, tam więc zwołana została odprawa dowódców zgrupowań dla ogłoszenia tragicznej i zaskakującej informacji o kapitulacji oraz dalszych poczynaniach organizacyjnych. Pełniąc w tym dniu służbę przy dowódcy naszego zgrupowania, właśnie ja zostałam obarczona koniecznością przekazania „swoim” tej okrutnej wiadomości, powodującej rozpacz, żal, złość, gorycz i wielkie rozczarowanie. Świadomość, że ich walka przepojona wiarą w zwycięstwo tyle ofiar wysiłków i poświęcenia ma teraz „pójść na marne” – była klęską moralną. Dla mnie przekazanie tego ostatniego meldunku okazało się najtragiczniejszą misją, jaką jako łączniczka musiałam wykonać. Byłam zupełnie „rozbita”, a musiałam zachować moc wobec jeszcze jednej sprawy ambicjonalnej. Wyjście wraz z wojskiem do niewoli było dla mnie oczywiste, natomiast mój bezpośredni dowódca porucznik „Gama” rozkazał mi niezwłocznie przejść do piwnicy sąsiedniego domu, gdzie przebywała moja mama i ranna siostra, tłumacząc, że teraz rodzina oczekuje mojej pomocy to mam uznać za pełnienie dalszej służby. Matka była tuż obok, w piwnicy zamieszkałej, pełnej ludności cywilnej. Miałam biało-czerwone baretki na kołnierzu wiatrówki. Dowódca kazał mi to odpruć, także zdjęć opaskę, kazał przebrać się, aby nie rzucało się w oczy, że mogłam uczestniczyć w Powstaniu, i kazał zostać w tej piwnicy jako ludność cywilna. Noc przetrwałyśmy razem z matką i siostrą w piwnicy, a rano Niemcy wypędzili nas wszystkich.

Raus! Wchodziło kilku Niemców: Raus! Raus! Raus! i zostali tylko ranni chłopcy, którzy nie poszli do niewoli. Jak wyprowadzono naszych chłopców, nie wiem, bo byłam już w piwnicy obok. Oni wszyscy poszli na punkt zborny i do niewoli. A nas wypędzono.

Kierowano nas do obozu w Pruszkowie, obrzeżami dzielnic Powązek i Woli. „Pochód” olbrzymiej kolumny mieszkańców Żoliborza trwał cały dzień. Konwojowali nas rozstawieni wzdłuż całej trasy różnie zachowujący się żołnierze niemieccy, mnie ograbiono z zegarka zauważonego na ręce. Pod wieczór, we Włochach, sporo ludzi miejscowych obserwowało nasz przemarsz. W momencie, gdy akurat koło nas nie było konwoju, dwie panie, pewnie poruszone wyglądem siostry, zbliżyły się do nas ze słowami: „Chodźcie do nas, nie idźcie do obozu!” i pospiesznie wyciągnęły nas z kolumny, oferując nocleg w swoich domach. Jedna z pań zabrała mamę, druga przygarnęła siostrę i mnie.

Rano obie przeżyłyśmy moment strachu, gdy zjawił się Niemiec w mundurze celem zabrania nas ze sobą. Okazało się, że był to „człowiek zaufany”, który zobowiązał się doprowadzić nas bezpiecznie do mamy. Zaistniała możliwość naszego dotarcia do rodziny mieszkającej w Żyrardowie. Ktoś życzliwy pomógł nam dotrzeć na dworzec i wsadził do pociągu, a w Żyrardowie wujek – lekarz dopomógł w gojeniu się okaleczeń mojej siostry. Teraz naszym celem był Kraków, bowiem tam, dom siostry mego ojca, stanowił naszą rodzinną skrynkę kontaktową. W Krakowie czekały na nas wiadomości o ojcu, który po Powstaniu, wraz z oddziałami Śródmieścia, poszedł do niewoli i przebywał w Oflagu II C. Zamieszkałyśmy u rodziny, a ja zaczęłam naukę w Liceum Gospodarczym. Niestety w nocy 6 stycznia 1945 roku Niemcy przeprowadzili zmasowaną obławę na zamieszkałych w Krakowie Warszawiaków, z tym, że zabierano tylko osoby figurujące na posiadanych spisach ludzi. Dowiedziano nam

wówczas mocy niemieckiego hasła: „Porządek być musi!” – bowiem na wykazie zabrakło mojej siostry i pomimo próśb jej samej oraz prośby mojej mamy o zabranie jej z nami, by nas nie rozdzielać – siostra musiała zostać. Zatrzymano tej nocy ponad tysiąc osób, które zgrupowano w obozie na krakowskim Prądniku, a w następnych dniach grupami wywożono w różnych kierunkach. 15 stycznia, na 3 dni przed wejściem do Krakowa wojsk radzieckich, zostałam w grupie pięćdziesięciu kobiet wywieziona wraz z matką do Drezna, miasta nie znającego dotychczas grozy wojny. Z dnia przyjazdu zapamiętałam widok niesamowitej paniki, wprost szału i obłędu ludzi z powodu alarmu w związku z pierwszym od początku wojny i nie groźnym nalotem lotniczym. Na nas, po przejściach warszawskich, tamten nalot nie robił wrażenia. Po zaliczeniu już kolejnego, tym razem międzynarodowego obozu segregacyjnego, gdzie nie ominęła nas wspólna łaźnia z upokarzającą dezynfekcją, dokonywana przez ukraińskich żołdaków, kierowano nas do „lagru” o nazwie *Arbeitsgemeinschaften „Eisen und Metall” Umschulungswerk*. Były to warsztaty szkoleniowe dla przyszłych robotników przemysłu zbrojeniowego, gdzie koniecznie chciano nas nauczyć obsługi tokarek i szlifierek. Obok drewnianych baraków z małym żelaznym piecykiem, zamieszkałych przez około sto kobiet i mężczyzn, w murowanym budynku, w przyzwoitych warunkach skoszarowanych było kilkudziesięciu okaleczonych żołnierzy niemieckich bez rąk i nóg, których po oproteżowaniu i oprzyrządowaniu szkolono do pracy przy deskach kreślarskich. Pod koniec lutego lub na początku marca przeżyłam grozę dotychczas nieznaną, prawdziwe piekło: zmasowane naloty dywanowe lotnictwa angielskiego i amerykańskiego, dokonywane na zmianę w dzień i w nocy, z bombardowaniem nieustającym przez dwie doby.

Niezapomnianym pozostanie tragiczny dzień ewidentnie zagrażający życiu naszej obozowej społeczności. Teren zakładu i lagru otaczały pożary. Schron był zajmowany przez Niemców i tych ze znakiem „P” nie wpuszczono. W grupie kilkudziesięciu osób staliśmy w pobliżu drewnianych baraków, przy zamkniętej dużej dwuskrzydłowej bramie żelaznej. Jeden z naszych zaradnych mężczyzn zorganizował wspólne, jednoczesne i rytmiczne naciskanie na bramę, którą udało się położyć i wyjść po niej na zewnątrz. Biegliśmy środkiem ulicy przez szpaler płonących po obu stronach kamienic, chroniąc głowy narzuconymi na nie kocami. Po dotarciu do najbliższej peryferyjnej miejscowości każdy indywidualnie zajął się swoim dalszym losem. Większość wybrała drogę na zachód. Mama i ja dołączyłyśmy do kilkusobowej grupy, która zdecydowała się wrócić do zakładu, nie mając innych możliwości pozostania na miejscu w oczekiwaniu „frontu wschodniego”. Baraków już nie było, warsztatów też, mieszkaliśmy z Rosjankami, które od kilku już lat pracowały tu w kuchni i pralni, mając swoją kwaterę w budynku firmy. Wykonywałyśmy wszelkie prace porządkowe, do których nas kierowano po każdym nalocie.

W kwietniu, wiadomości o zbliżającym się froncie zdopingowały nas do ponownego opuszczenia Drezna. Szłyśmy piechotą w kierunku frontu, chcąc w ten sposób przyspieszyć powrót do rodziny. Nocowałyśmy w niemieckich gospodarstwach, zdumione niebywałą gościnnością i przychylnością okazywaną nam teraz w zmieniających się warunkach. Któregoś popołudnia, do wsi gdzie korzystałyśmy z gościny, wjechały dwa radzieckie czołgi, potem kilka ciężarówek z jakąś „Komendą” i nastąpiły ochocze przygotowania do zbiorowej kolacji. Kontakty z wojskiem frontowym ułatwiała biegła znajomość języka i „psychiki” Rosjan posiadana przez moją mamę, zmuszona do przebywania przez pierwsze dwadzieścia lat życia w Kijowie. Wykorzystywałyśmy, stosowaną jeszcze wówczas na zapleczu frontu, komunikację w postaci różnych zaprzęgów konnych i jako pasażerki żołnierskich wozów czy „furek”, częstowane wyciąganą spod słomy słoniną i kwasem chlebowym, dotarliśmy do jakiejś linii kolejowej z towarowym pociągiem, obłożonym tłumem ludzi powracających z Niemiec. Znalazłyśmy kawałek miejsca na tendrze (przyczepie na węgiel do lokomotywy) i w takim

luksusie jechałyśmy 2 dni, mając do spożycia już tylko zabrane jeszcze z Krakowa „zapas na czarną godzinę”, w postaci smalca ze skwarkami w słoiku i cukru w kostkach. Ostatnią, znów dwudniową gehenną okazało się pokonanie trudów podróży uruchomioną już polską linią kolejową na trasie Ostrów Wielkopolski, Częstochowa, Kraków. Wróciłyśmy do kraju, oczywiście do Krakowa, wiedząc że tu jest nasz jakiś [azyl]. Tu dowiedziałyśmy się, że ojciec wrócił z oflagu, do którego dostał się po Powstaniu i że został skierowany do Wrocławia. Z pierwszą grupą pionierów przyjechał tutaj tworzyć zręby administracji z prezydentem Drobnerem na czele. Ojciec przyjechał 10 maja 1945 roku. 23 albo 25 maja 1945 roku z mamą i siostrą przyjechałyśmy do Wrocławia. Same gruzy tu były. Część tylko niektórych dzielnic istniała. Chyba był bardziej zniszczony niż Warszawa.

Pojechałam do Krakowa, tam skończyłam pierwszą klasę liceum gospodarczego, bo mogłam się tam dostać bez żadnego egzaminu i dopiero w następnym roku szkolnym wróciłam do Wrocławia. Tu skończyłam liceum spółdzielcze i zdałam maturę, i tu już zostałam.

*Irena Leszczyńska Pseudonim: „Kubuś”
Stopień: łączniczka Formacja: Zgrupowanie „Żaglowiec” Dzielnica: Żoliborz*

*Opr. ap
1 sierpnia 2024*